

**Marek Dobies**

**„Liberia”**

**(Fragmenty)**

**Rozdział 1.**

- Niedługo nie wolno ci będzie bez pozwolenia nawet pierdnąć w stołek – wycedził przez zęby Jack Lipsky, nie wypuszczając z ust kubańskiego cygara w rozmiarze *robusto*. Schował do kieszeni zapalniczkę i, mrużąc oczy, wydmuchnął kłęb błękitnego dymu.

Mężczyzna miał jasne, krótko ścięte włosy, zimne błękitne oczy i wyraz zawadiackiej pewności siebie na twarzy. Odziany był w wojskowe spodnie moro i rozpiętą ocieplaną kurtkę z puchowym kołnierzem. Siedział na barowym stołku w mrocznej knajpie w okolicy Brands Park, w polskiej dzielnicy Chicago.

Ben Novak, otyły, przepasany szarym fartuchem właściciel lokalu, nalał mu gorącej kawy ze szklanego dzbanka. Odstawił naczynie, oparł łokcie o blat kontuaru i wykrzywił w grymasie ni to bólu, ni uśmiechu swoje blade oblicze o ciemnym, gładko zgolonym zaroście.

- Przez twoją słabość do cygar, a moją do ciebie, któregoś pięknego dnia wlepią mi solidny mandat za łamanie zakazu palenia – zauważył.

- W końcu jesteśmy Polakami, a dla nas prawo jest po to, żeby je łamać – zarechotał Jack, łyknął kawy i dosłodził napój.

Wprawdzie obaj mieli polskie korzenie, lecz poza „dzień dobry”, „jak się masz” i „kurwa mać”, nie znali więcej wyrażeń z języka swych przodków.

- Z całej naszej polskości zostały tylko nazwiska – barman błysnął refleksją, po czym odruchowo przetarł blat wymiętą ścierką.

- I chorągiewki w twoich koktajlach – przypomniał mu Lipsky.

- Taa... i chorągiewki.

Mężczyzna przy barze w zamyśleniu pociągał cygaro. Z lubością wdychał aromatyczny dym i zapijał go czarną kawą. Był późny ranek, więc w „Knajpie u Bena” nie było więcej klientów. Na drewnianych stołach, ustawionych w trzech rzędach, nadal leżały odwrócone do góry nogami krzesła, a przez zastawione kaktusami okna sączył się blask mizernego styczniowego słońca.

- Od jutra zaczynam szukać roboty... – zwierzył się Jack barmanowi. – A może potrzebna ci pomoc w knajpie?

- Ze swoimi referencjami mógłbyś, panie detektyw, robić u mnie co najwyżej za wykidajkę, a takiego tu nie potrzebuję.

- Od dzisiaj mów mi: panie bezrobotny – poprawił go. - Właśnie odebrali mi licencję.

- Za tego gościa, któremu rozwaliłeś łeb?

- Chciałem tylko odzyskać swoje pieniądze. Robotę wykonałem, a facet nie miał ochoty zapłacić.

- To może zatrudnij się w jakiejś firmie windykacyjnej. Tam byś się nadał.

- Pomyślę nad tym.

Zaczęli razem, bez pośpiechu i hałaśliwie, zestawiać krzesła ze stolików. Lokal był czynny od kwadransa, a pierwszych klientów właściciel spodziewał się dopiero w porze lunchu, więc miał czas, żeby przygotować wszystko na ich przyjęcie. Na tłum gości nie liczył, bo knajpa nie była miejscem szczególnie obleganym ani zbyt wykwinnym.

Na ogromnym ekranie płaskiego telewizora, zawieszzonego na ścianie z nieotynkowanej cegły, leciały najświeższe wiadomości, ale dźwięk był wyciszony.

- Od jutra po centrum można będzie poruszać się wyłącznie pojazdami ekologicznymi – Ben wskazał palcem monitor, na którym taksówki i małe elektryczne samochody śmigły po zatłoczonej ulicy.

- W Europie to nic nowego. Amerykanie przestali sami myśleć i zaczęli kopiować wszystko, co ktoś już tam wykombinował. A restrykcjom i ograniczeniom nie ma końca. Najpierw wprowadzili nam zakaz palenia w miejscach publicznych, potem zniesli karę śmierci, a teraz odebrali prawo do posiadania broni.

- I co, tęsknisz za swoją trzydziestką ósemką?

- Raczej nie – odparł, lecz zaraz dodał konfidencjonalnym szeptem: - Nadal trzymam ją pod poduszką.

Jack zdjął kurtkę, powiesił ją na oparciu krzesła przy stoliku pod oknem, po czym strzepnął popiół z cygara do donicy z palmą obok stojaka na gazety. Sięgnął po „Chicago Tribune”. Przyniósł sobie kawę, rozparł się wygodnie w krześle, rozkładając szeroko nogi w traperach, i zaczął przeglądać wiadomości sportowe.

Na odgłos otwieranych drzwi mimowolnie odwrócił głowę. Ujrzał dwóch gości. Jeden był czarny, drugi biały. Obaj w długich, ciemnych płaszczach. Wyglądali jak akwizytorzy ubezpieczeń, i tylko ich zbyt uważne spojrzenia, błędzące po lokalu w poszukiwaniu nie wiadomo czego, nie pasowały do tego wizerunku. Na chwilę

zatrzymali się przy barze, ostentacyjnie przyglądając się Jackowi, a potem zdecydowanie do niego podeszli. Bez pytania zajęli miejsca przy jego stoliku.

- Lipsky, prawda? – upewnił się czarnoskóry.

- Trafiony, zatopiony! – uśmiechnął się Jack i opuścił płachtę gazety na kolana.

Mężczyźni jak na komendę poprawili się na krzesłach i rozpięli płaszcze. Pod spodem mieli garnitury, białe koszule i krawaty.

- Możemy pogadać?

- Walcie!... Co was sprowadza?

- Powiedzmy, że dostałeś spory spadek... – zaczął biały zachęcająco.

Detektyw bez licencji podciągnął nogi i wyprostował tułów. Popatrzył z ironicznym półuśmieszkiem w oczy swoich rozmówców.

- Brzmi to dobrze, ale niestety, nikt z mojej rodziny nie zszedł ostatnio z tego świata – odparł.

- A Stanisław Lipsky...?

- To mój dziadek. Rzeczywiście, nie ma go już wśród nas, lecz to smutne zdarzenie miało miejsce... Niech no policzę... jakieś osiem, dziewięć lat temu.

- A jednak masz okazję otrzymać sporo forsy. Załóżmy, że w spadku – upierał się czarny.

Gadali na przemian, jakby się umówili.

Lipsky uważnie złożył gazetę, ostatni raz pyknął cygaro, wstał, uchylił okno i cisnął niedopałek w śnieg.

- O co naprawdę chodzi? – spytał, wracając na swoje miejsce.

- Pewna agencja rządowa ma dla ciebie propozycję współpracy. Możesz czuć się wyróżniony, bo zostałeś wybrany spośród wielu. Jeśli stawisz się jutro na nasz „casting”, to może będziesz miał okazję nieźle zarobić i zrobić coś pożytecznego.

- Dla ojczyzny – uściślił Afro-Amerykanin.

- Dla ojczyzny to ja już swoje zrobiłem... – Jack wymownie pomacał prawy bark, przez który przeszła kula i który do dzisiaj przypominał mu o tym incydencie przed każdym załamaniem się pogody. – Wolalbym, żeby w ramach rewanżu ojczyzna zrobiła teraz coś dla mnie... - rzekł, a potem dodał poważnie: - Dowiem się czegoś więcej?

## Rozdział 5.

Położone w sercu afrykańskiego pustkowia laboratorium TransClone zyskało sobie miano farmy ze względu na baraki, w których mieszkały klony. Zabudowania wyglądem przypominały stodoły, a replikanci byli „hodowani” w niewoli jak zwierzęta.

Sektor kobiet składał się z trzech czworaków ustawionych na kształt litery L. Za barakami znajdowały się latryny, zaś od ich frontu, pod dachem na palach, łaźnia. Otwarte z dwóch stron pomieszczenie wyposażone było w rzędy natrysków i kratki ściekowe w betonowej posadzce oraz metalowe koryto pełniące rolę wieloosobowej umywalki, oddzielone od pryszniców przepierzeniem. Na środku otoczonego palisadą placu, pod zadaszeniem z blachy falistej, mieściła się stołówka, na którą składały się cztery szeregi zbitych z desek stołów i ławki.

Clark wszedł po drewnianych, poskrzypujących schodkach na wieżę wartowniczą, usiadł na plastikowym krześle z poduszczką położoną tam dla wygody i oparł strzelbę o kolano. Z góry miał widok nie tylko na farmę klonów, ale i na rozległy, płaski teren oświetlony teraz skośnymi promieniami porannego słońca. W gruncie rzeczy jego rolą nie tyle było obserwowanie kilkudziesięciu klonów wiodących leniwe życie za wysokim ogrodzeniem, co strefy wokół „więzienia”. Klony nie uciekały, bo nie miały dokąd i poza drobnymi bijatykami nie było z nimi problemów. Całe to więzienne wyposażenie - broń, uniformy, zgniłozielone furgonetki - były kamuflażem służącym do ukrycia prawdziwej działalności firmy, a zadaniem strażnika było obserwować, czy nikt z zewnątrz nie interesuje się zbyt chronionym obiektem.

Wieża była przewiewna, otwarta na cztery strony, a w niej znajdował się telefon do łączności wewnętrznej i mocna, elektroniczna lornetka zawieszona na gwoździu wbitym w podtrzymującą daszek belkę. Strażnicy zmieniali się co dwie godziny, więc mieli czas, żeby wypić kawę i odpocząć. Wolne chwile spędzali w murowanym budynku mieszczącym szatnię, niewielką zbrojownię i pomieszczenie socjalne. Wykonywali również inne prace, na przykład porządkowe. Do ich obowiązków należało także eskortowanie osób, które musiały wejść do zagrody z klonami. Nie tyle z obawy, że klony mogły stać się niebezpieczne, co dla zasady, bo tak przewidywał regulamin.

Clark, przyzwyczajony do pełnienia służby w ruchu, trochę nudził się ciągłym siedzeniem. Zaczynał się upaść, ale na wieży było jeszcze przyjemnie. Z góry przyglądał

się kobietom klonom z obciętymi na krótko włosami, ubranym w granatowe spodnie i bluzy z nadrukowaną nazwą więzienia. Snuły się po farmie, pogryzając ryżowe suchary albo banany, które dostały na śniadanie. Jedne myły się, inne siedziały w grupkach trzymając się za ręce, przytulając, śmiejąc się lub rozmawiając w dziwny sposób, nadużywając gestów, jakby porozumiewały się językiem migowym. Klony znały niewiele słów. Nauczono je ledwie paru komend niezbędnych do utrzymania dyscypliny i kilku zdań pomocnych w komunikacji z lekarzem lub opiekunami. Używały ich w rozmowach ze sobą, ale najczęściej posługiwały się gestykulacją, pomrukami, uśmiechami, bo było to prostsze i naturalniejsze. Klony płci żeńskiej, tak samo jak mężczyźni w swoim sektorze mieszczącym się po drugiej stronie głównego gmachu firmy, były różnych ras. Wśród nich można było dostrzec dziewczęta białe, ciemnoskóre o rysach negroidalnych, Azjatki i o urodzie latynoskiej. Niektóre stanowiły konglomerat tak wielu ras, że nie sposób było zgadnąć, skąd wzięto geny, dzięki którym powstały. Wszystkie młodziutki, wyglądały na nie więcej niż dwadzieścia lat. Clark zauważył też kilka ciężarnych. Wprawdzie klony były bezpłodne, jednak mogły nosić płody, dlatego wykorzystywano je jako surogatki. W ich łonach umieszczano embriony replikantów Fazy Pierwszej. Kopie osób, od których pochodził materiał genetyczny rodziły się i dorastały w normalnym tempie, przebywając drogę od noworodka do dorosłego osobnika. Klony Fazy Drugiej były natomiast efektem bardziej zaawansowanej technologii. Powstawały również z replikacji komórek dawcy, lecz już w chwili swoich „narodzin” były fizjologicznie dorosłymi ludźmi. Takie klony z wyglądu przypominały nastolatki, ale ich umysły były jak czysta kartka, jak sformatowany przed zapisem dysk. Podobno z nimi prowadzone były eksperymenty mające na celu wyposażenie ich w pamięć i doświadczenie dorosłej osoby. Etap ten nazywano Fazą Trzecią. Z tego co Scott słyszał, naukowcy pracowali nad możliwością przekopiowania do mózgu klona pamięci i emocji dojrzałego człowieka w celu przedłużenia mu życia. Wymieniając ciała, a pozostawiając całą zgromadzoną w mózgu wiedzę i doświadczenie, można było stworzyć istoty „mentalnie” nieśmiertelne. Cały ten pomysł znany był z ideologii raelian. Strażnik nie wiedział, czy pracujący w laboratorium naukowcy to przedstawiciele tego ruchu religijnego, ale było to bardzo prawdopodobne, bo o raelianach od pewnego czasu sporo słyszało się w Liberii.

Z nudów zaczął podpatrywać dziewczyny klony przez lornetkę. Próbował odnaleźć tę, którą uwolnił z łap brutalnego wojskowego w piątkową noc. Ale nie łatwo

było ją poznać wśród podobnie ostrzyżonych kobiet. Tylko jedna twarz wydała mu się znajoma. Dziewczyna właśnie wyszła z baraku i zmierzała do umywalni. Zatrzymała się na chwilę przy grupce innych replikantek i gestykulowała żywo, jakby coś im opowiadała. Miała ciemne włosy, oliwkowe oczy z długimi rzęsami, kontrastujące z bladą cerą, wyraźnie zarysowany podbródek i smukłą szyję. Gdy Scott ją zobaczył, w ustach poczuł suchość, a serce zaczęło łomotać mu w piersiach jakby wyrywało się do biegu.

- To nie może być prawda! – powiedział głośno. Odsunął od oczu lornetkę i w zakłopotaniu potarł czoło.

A potem ponownie przywarł do okularu, ale dziewczyna weszła już pod daszek umywalni. Pomyślał, że to jakieś zwidy. Nie mógł doczekać się, kiedy znowu pojawi się na placu, żeby przekonać się wreszcie, że wzrok go zmylił. Oczekiwał w napięciu, wstając i siadając na powrót, a gdy ktoś wychodził z łaźni, sprawdzał przez lornetkę czy to ona. W końcu pojawiła się. Powiększył obraz i skupił ostrość na jej twarzy. Nie miał wątpliwości – to była Helen. Młodsza niż ją znał nawet przed ślubem, trochę podobna do Julii, lecz bez jej pucołowatości.

- Helen! – wyrwało mu się. Niemal krzyknął jej imię.

Rzucił lornetkę na podłogę i zbiegł schodami na dół. Zatrzymał się w pół drogi. Usiadł na nagrzanym stopniu, objął głowę dłońmi i spróbował się uspokoić. Nie może robić z siebie idioty. To nie Helen, ona nie żyje... – tłumaczył sobie ten oczywisty fakt. - Ale to może być jej wcielenie. Jej inkarnacja. W to wierzył. Wierzył naprawdę, że pewnego dnia spotkają się w innym życiu, może w innej postaci, ale ich drogi znowu się zejdą. Nie sądził jednak, że stanie się to tak szybko.

Wrócił na wieżę i jeszcze raz popatrzył na dziewczynę. Nawet figurę miała taką jak Helen wiele lat temu... I wtedy przypomniał sobie ten dzień po śmierci żony. Jerome mówił, że pobrał jej DNA. Z pewnością nie wykorzystałby go bez zgody Scotta, ale Jerome od dwóch lat już tu nie pracował, a materiał genetyczny Helen leżał sobie pewnie gdzieś w laboratorium...

- Sklonowali ją – szepnęła, a w głowie miał taki zamęt, że nie wiedział już czy ma się cieszyć, czy rozpaczać.

Popatrzył jeszcze raz na jasną twarz dziewczyny. Miała zbyt bladą skórę. Helen zawsze była opalona. Lubiała mocną opaleniznę. Czym jeszcze się różniły...? Nelly nigdy nie włożyłaby takiego stroju, to pewne! Prędzej dałaby się zabić... – ta myśl

rozbawiła go, ale jego uśmiech zaraz przeszedł w zadumę. Poczł, że oczy mu wilgotnieją ze wzruszenia.

To tylko klon. Podobny do Helen, ale klon. Nie jest nią i nigdy nie będzie – przemawiał do siebie, gdy schodził z wieży wartowniczej na koniec zmiany. – To tylko wynik głupiej pomyłki...

W nocy śniła mu się żona. Od wielu miesięcy nie miał z nią snów, a teraz przyśniła mu się cała trójka: Helen, jej klon i Julia. W jego sennym marzeniu zlewały się w jedną postać, zamieniały sobą, plątały się ich tożsamości, aż obudził się skołowany w ciężkim upale. Słyszał, że za oknem leje. Było parno jak w porze deszczowej.

Wstał, choć jeszcze panowała ciemność, a zegar wskazywał 5.10. Zapalił lampkę przy łóżku i patrzył w młodą twarz żony na ich ślubnym portrecie. Zdjął ramkę ze ściany i przyjrzał się jej uważnie. Przez chwilę poddał się irracjonalnemu wrażeniu, że klon to naprawdę Helen, która w jakiś cudowny sposób wróciła do niego. Czł, że gdyby spojrzała na niego, gdyby wziął ją za rękę i przytulił, poznałaby go na pewno. Zamyślony i niespokojny chodził nago po pokoju. Zerkał na zawieszona na ścianie fotografie. Przyglądał się żonie, córce, sobie i zastanawiał, jak bardzo się zmienili. Jak Helen wyglądałaby dzisiaj...? A potem pomyślał, że dawno nie miał żadnych wieści od Julii. Złapał komórkę, która leżała bezużyteczna w szufladzie komody. Włączył ją, ale na ekraniku pojawiło się tylko logo firmy Lone Star i komunikat, że konto wymaga doładowania. Włączył laptop i zalogował się do internetu, lecz w czasie ulewy nie było zasięgu. Przyszło mu na myśl, że zamiast martwić się jakimś klonem, powinien zatroszczyć się o los córki.